

KŁOPOTY WIELKICH MIAST

Jak rozbudowywać, przebudowywać i odbudowywać miasta, aby zaspokajały możliwe najlepiej potrzeby by mieszkańców?

Jak rozwiązują te problemy u siebie poszczególne państwa?

Te i inne problemy były głównymi tematami międzynarodowego Kongresu Architektów, który odbył się w tym roku w Moskwie. Uczestniczyło w nim 1.500 delegatów z 46 krajów. Jednym z uczestników Kongresu był prof. mgr inż. Wł. Czarnecki z Politechniki Poznańskiej, który poinformował nas o ciekawych problemach poruszanych w czasie obrad.

Najpierw kilka danych o budowie nowych miast.

W okresie do 1956 roku wybudowano np. w Związku Radzieckim 564 nowe miasta, w tym 180 liczących powyżej 100 tys. mieszkańców i 22 miasta półmilionowe.

Jest to olbrzymie tempo w porównaniu z innymi krajami, gdzie w tym samym czasie wybudowano najwyżej kilka, czy kilkanaście miast, i to przeważnie dla odciążenia największych miejscowości. Praktyka bowiem wykazała, że utrzymanie miast — kolosów jest kosztowne i następuje sporo różnych kłopotów.

Z tego też powodu rozważano na posiedzeniu gabinetu premiera de Gaulle projekt „odludnienia” Paryża, w którym w chwili obecnej pracuje około 23 proc. robotników, 50 proc. urzędników i przebywa 40 proc. studentów całej Francji.

Wyżywienie ludności Paryża jest obecnie bardzo utrudnione, zanieczyszczenie powietrza bardzo duże, szpitale i szkoły przepełnione, a nawet brak już miejsca na cmentarzach. W związku z tą sytuacją omawiano projekty budowy nowego miasta w odległości 50 km od stolicy Francji. Na razie zamierza się wstrzymać zakładanie w Paryżu nowych fabryk, biur i urzędów oraz przeniesie wiele szkół wyższych do miast prowincjonalnych.

Podobne trudności istnieją w Londynie, toteż zamierza się wybudować w jego okolicy 8 innych miast.

Podczas Kongresu Architektów opinia była zgodna, że w przyszłości należy raczej ograniczyć rozwój miast liczących powyżej 2 miliony osób. Jak twierdziło wielu architektów, najekonomiczniejsze są miasta liczące po 75 do 100 tys. mieszkańców.

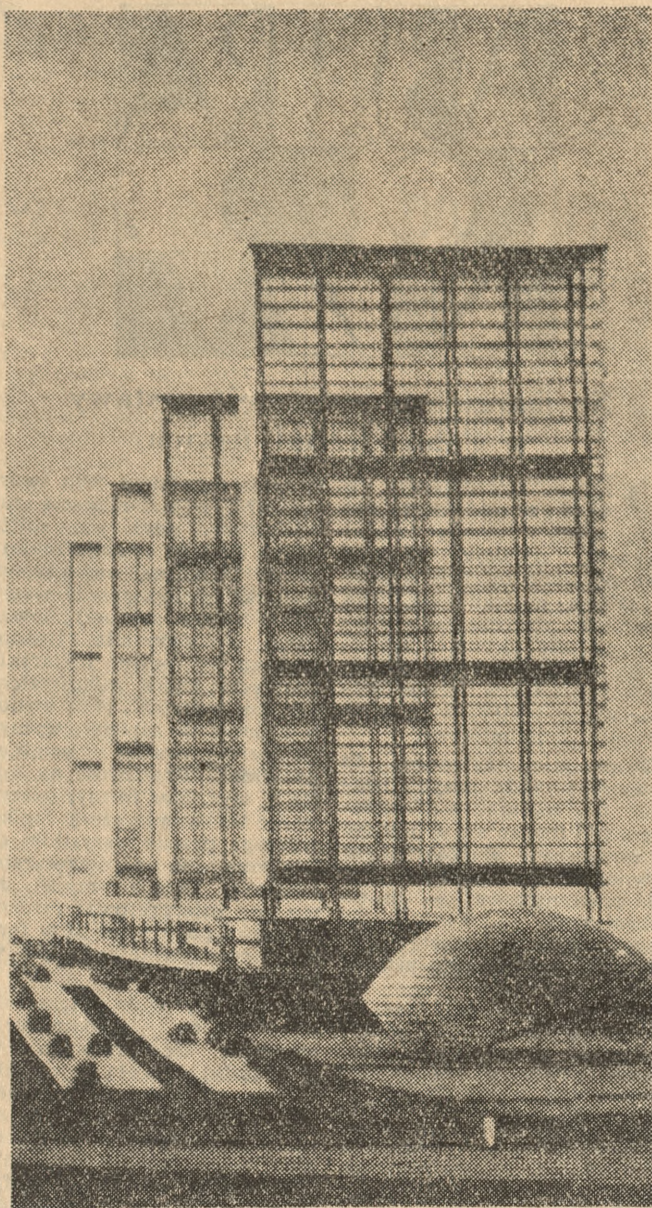
✱

A oto nieco danych o sposobach, jakimi rozwiązują poszczególne państwa trudności dużych miast.

W Związku Radzieckim zainstalowano w 3 tys. wielkich zakładach przemysłowych specjalne łapacze gazów i sadzy, a w następnych 2 tys. fabryk zainstaluje się tego typu urządzenia w okresie do 1960 r.

W Hiszpanii buduje się 3 nieduże miasta rolnicze z potrójnym systemem dróg: dla pieszych, oddzielnymi dla bydła i osobnymi dla pojazdów.

Główne ulice handlowe pewnych miast holenderskich są w ogóle zamknięte dla pojazdów, a więc przechodnie mogą swobodnie spacerować przez całą jezdnię. W okolicach tych pojazdy są widoczne tylko wczesnym rankiem, lub późnym wieczorem.



rem, kiedy dowieżą do sklepów różne artykuły.

W interesujący sposób rozwiązuje się problemy budownictwa w Chinach.

Chińczycy czuliby się szczęśliwi, gdyby przypadła u nich na osobę taka powierzchnia mieszkaniowa jak w Polsce, (a więc średnio 9 m²) gdyż u nich przeciętnie przypada na mieszkańca tylko ok. 3 m², a więc nieco więcej niż zajmuje rozścielona mata na podłodze...

Zaraz po wyzwoleniu Chin rząd rzucił hasło zadrzewienia miast, znanych z ubogiej roślinności. Hasło to zostało podchwyczone przez cały naród i dziś już rzadko spotyka się skrawki nie wykorzystanej ziemi, na której by nie rosły drzewa. Plany dla Szanghaju i jego okolicy przewidywały m. in. zasadzenie 120 mln. drzew; a więc za kilka lat będzie to miasto sadów. Podobnie było również w wielu innych miejscowościach. Dziś spotyka się w Chinach takie miasta, w których przypada na każdego mieszkańca po 4.000 zasadzonych drzew i krzewów...

Następnym hasłem, wysuniętym przez rząd chiński była walka z czterema wielkimi plagami: muchami, moskitami, szczurami i

wróblami. Wróble zjadają bowiem na polach wiele ryżu, toteż tępienie było bez miłosierdzia i dziś należą w tym kraju prawie do rzadkości. W batalii z muchami i moskitami pomogły... zwykłe packi. Przez wiele miesięcy packa była nieodłącznym sprzętem używanym przez Chińczyków. Szczurów niszczone w inny sposób. W poszczególnych dzielnicach zakładano w jednakowym czasie trucznicę, zamykano na pewien okres kanały i wlewano w nie wrzącą wodę. Dzięki dużemu zdyscyplinowaniu mieszkańców i ta batalia uwięziona została powodzeniem.

Największym problemem są jeszcze w Chinach pozostałe w spadku po kapitalizmie rudery, będące głównym siedliskiem, brudu. Mimo trudnych warunków mieszkaniowych zbudowano w Chinach rudery o powierzchni 2 mln. m², a w najbliższym roku zamierza się zlikwidować dalsze o powierzchnię 2,5 mln. m².

✱

O podobnych problemach szeroko mówiono podczas kongresu. Podkreślano również, że w przyszłych planach rozwoju miast należy w szerszym niż dotąd stopniu uwzględnić strefy podmiejskie. Należy też zwalczać monotonię w budownictwie przez stosowanie różnorodnych materiałów budowlanych, zwrócić uwagę na odpowiednie zlokalizowanie dzielnic przemysłowych, parkingów, czy głównych arterii komunikacyjnych.

Br. L.

Wyniki

Konkursu Literackiego „Nowego Świata” podamy za tydzień.

Józef Ratajczak



Uciekam w bezdroży błękit po klawiaturze pięter — kładą się na powieki ciszy usta namiętne.

Gubię drogę powrotną do miasta, domu, pokoju — jest we mnie wielka samotność której się boję.

Kraj baśni mi się przysnił lata barwną galezią, by spaść pogodą czarodziejskich liści po tamtej stronie jezior.

I przypomnienia niedorzeczne, żalu płaczący kondukt — wszystko stopniało srebrnym deszczem po tamtej stronie ładu.



Rys.: L. SUSICKI

Nowy Świat

TYGODNIOWY DODATEK „GŁOSU” * Poznań. 3 V 1959 * ROK IX Nr 71

LISTY

spod Monte Cassino

Nasze oddziały, powstałe na rozległych przestrzeniach ZSRR, reorganizowane wśród piasków i hamsinów irańskich a szkolone w cieniu fig i palestyńskich pardessów — poczęły w końcu roku 1943 związać namioty. Kilkumiesięczny pobyt w dolinie Jordanu nie upłynął na pobożnych pielgrzymkach. Wojska II korpusu Armii Polskiej na Środkowym Wschodzie opanowywały intensywnie technikę władania sprzętem angielskim i zasady bitew na terenach wysokogórskich. A teraz, już wyszkolone rozpoczęły marsz bojowy po przez Egipt na Półwysep Arabski. W ostatnich aktach światowego dramatu miały i one odegrać swą rolę...

W czasie każdej epopei wojennej zmaganiom żołnierzy towarzyszy — pełna czułego napięcia — uwaga ludności cywilnej. Ale bodaj w całej naszej historii nie było wojny podobnej. Nigdy oręż polski nie błyskał na tyłu kontynentach.

I — co dziwniejsze — również rodziny żołnierskie los rozsiały po całym świecie. Bijące serca matek, żon i dzieci śledziły przebieg wojennych wypadków pod rozmaitymi szerokościami geograficznymi.

W kamiennym kasztelu, na szczycie wysokiej, samotnej góry, tuż pod Jerozolimą, w roku 1944 urządzono Dom Matki i Dziecka. Istniały już takie domy opiekuńcze w Jaffie, Betanii, Ramallah, mieszkali również matki ze swoimi dziećmi w Tel-Awivie, Jerozolimie, Betlejem. Ale ten na Jebel-Errab (czyt. Dżebel-Errab) oryginalnością i egzotyką położenia przewyższał inne. Zbudowany tuż przed wojną z masywnych bloków kamienia — sumptem bogatej Angielki — miał służyć zamożnym państwowym, jako miejsce odpoczynku. Tymczasem wybuchła wojna, ruch turystyczno-państwowy ustał i wiatr hulał wśród korytarzy.

Mieszkaliśmy po dwie w ładnych, jasnych pokojach, a przy łóżku każdej stało małe łódeczko. Ogromny dzwon obwieszczał nam 4 razy dziennie, że trzeba schodzić na posiłek do chłodnej jadalni. Tenże dzwon oznajmiał, że Ali napompował ciepłą wodę do pralni, że prysznice już są czynne lub że przyjechał lekarz z Jerozolimy. Cóż z tego, że wikt był doskonały, że życie płynęło rozleniwiająco wygodnie?

Nad wieczorem siadywałyśmy na kamiennym obmurowaniu tarasu. Przed nami roz-

taczał się wspaniały widok na pasma górskie. U podnóża ty sięciami światła jarzyła się Jerozolima, z drugiej strony mi gały światła małego Ainkarem miejsca urodzenia św. Jana Chrzciciela. Wokół panowała cisza, nawet szakale nie podchodziły tak wysoko. Gdy pierwsze gwiazdy zaczynały rozbliskiwać, my z oczami utkwionymi w przestrzeń, ale zawsze na zachód, wiodłyśmy ciche rozmowy krążące wokół niezmiennie jednego tematu: gdzie są teraz nasi najbliżsi? Z ostatnich listów wnioskowałyśmy, że przygotowuje się jakaś większa akcja, że na coś się zanoszą i trwoga targają nasze serca.

Wspomnienia w piętnastą rocznicę

Codziennie w porze obiadowej wracał Mansur — posłaniec z Al-Kuck, jak Arabowie nazywają Jerozolimę, przynosząc sprawunki. Jednocześnie wręczał kierownikowi zawartość skrzynki pocztowej z poczty w Jerozolimie. Następnym uroczystym momentem, najwęższą chwilą codziennego programu: rozdawanie poczty. Listy z Włoch przychodziły do nas po mniej więcej tygodniowym okresie, natomiast wiadomości z prasy miałyśmy dużo świeższe, dzięki gazecie polskiej, wychodzącej w Jerozolimie.

I oto, pewnego majowego po południu, Mansur przyniósł gazetę obwieszczającą wielkimi czcionkami: „Flaga Polska na Monte Cassino”, „Najlepsi żołnierze, jakich wydała obecna wojna”, „Klasztor należy do Polaków”, „Jest to wielki dzień w historii Polski”. Tak brzmiały wypowiedzi zagranicznych korespondentów i komentatorów. Zelektryzowane

tymi wiadomościami, z palającymi twarzami, wyrwałyśmy sobie gazetę z rąk. Listy tym razem przyjęłyśmy obojętnie. Były przecież już „stare”, niosły datę 7, 8 maja. Kiedy nadejdą te z 15, 16 i 18 maja?... Kiedy zdobędziemy pewność, że wyszedł żywy z tego piekła? Jakże bezlitośnie długą wydawała nam się przestrzeń czasu, dzieląca nas od otrzymania listu spod Monte Cassino!

A po tygodniu...

Pierwsza Marysia Chaczko, mamusia dorodnego 10-miesięcznego Januszka, otrzymała swój list zwrotny z adnotacją w rogu koperty: „Poległ na polu chwały”. Pierwszy cień padł na słoneczny taras, opleciony lilowym wieniec kwitnącej passifloriny. Młode buzie mamusi z oczami pełnymi łez pochylały się nad białymi łódeczkami.

Po tym pierwszym zwrotnym liście — poczęły nadchodzić dalsze. I już na długie miesiące odbiegł nas spokój. Po Monte Cassino była przecież Ankona, potem „linia Gotów”, potem forsowanie rzeki Senio, potem Bolonia. Jeszcze wiele, wiele listów zwrotnych miała dostarczyć skrzynka z jerozolimskiej poczty...

Nieugięte jest prawo życia. Gdy rósł las białych krzyży na całym obszarze Italii, to równo często pod bladem od upału niebem Palestyny rodziły się małe Basie, Marysie i Danusie, mali Jackowie i Wojtusie, nieraz już od kołyski — sierotki. Mamusie tuląc w ramionach białe „zawiniątka” przyrzekały im solennie: „Wy już tego przeżywać nie będziecie — uchronimy was od wojny”.

Tymczasem moje „zawiniątko” kończy VIII klasę i jest o pół głowy wyższe ode mnie. Nieraz odkładając gazetę, myślę: „bomby wodorowe, broń nuklearna, głowice atomowe, czy doprawdy ludzie nie mogą żyć w zgodzie?”

Krystyna ZGRZEBNICKA

Odbijają się co roku, a więc przywykliśmy do nich, w dobrym i mniej dobrym tego słowa znaczeniu. Niekiedy wrzuszają ramionami: ot, znowu kilka okolicznościowych imprez, konkursy czytelnicze, sprzedaż książek w straganach ulicznych. Słowem — doroczne Dni Oświaty, Książki i Prasy.

A jednak... Najbardziej dla mnie szokującą wiadomością roku ubiegłego była mała notatka informacyjna. W jakiejś wsi znaleziono niewypał. Powiadomiono o tym milicjanta, który polecił sołtysowi ustawić wokół niewypału płotek, sam zaś zadzwonił do saperów. Kiedy wrócił na miejsce, sołtys kończył wbić paliki. Właśnie wbił ostatni. Walł w niego z całej siły... znalezionym niewypałem.

Dzieje się to w czasach, kiedy kilka sztucznych księżyców krąży wokół ziemi. Pod względem cywilizacji i oświaty wielkopolski chłop przewyższa przeciętnego mieszkańca wsi województwa centralnych i wschodnich. Ale także u nas, w r. 1959, zdarzają się wypadki ślepego wierzenia znachorów, koftunów itp.

Polska krajem ludzi kształcących się — to hasło naprawdę aktualne. Cała Polska — nie tylko wieś.

Mamy wielu dobrych fachowców. Ale jakże nagminnym zjawiskiem jest np. inżynier, którego wiedza i zainteresowania ograniczają się do przerażającego wąskiego zakresu spraw zawodowych! Ile czytamy — i co czytamy? I w ogóle — w jaki sposób spędzamy wolny czas?

Popatrzmy na to szerzej. Spróbujmy na przykład odpowiedzieć, dlaczego u nas, w Poznaniu niedziela jest dniem przeraźliwie nudnym? Kawiarz, spacer w krawców po Placu Wolności, plotki w rodzinnym gronie, ewentualnie kino — oto w jakim kręgu „odpoczywa” lwia część poznaniaków.

Nie chodzi o to, abyśmy w niedziele studiowali Horacego czy teorię kwantów, lub dyskutowali zbiorowo nad naszym czy artykułami „Nowej Kultury”. Bynajmniej. Ale prawdą jest, że jesteśmy obojętnie władającymi leniwi — nawet wtedy, kiedy wypoczywamy. Ze spędzamy niedzielę jak zbiorowi rolnicy rutyniarze. Ze nie chcemy nam się przewyciężyć własnej ospałości. Ze po prostu nie wiemy, że można wypoczywać inaczej. Ciekawiej i zdrowiej, dla ciała i ducha.

Dni odbywają się właśnie teraz. Na wiosnę...

GNOM



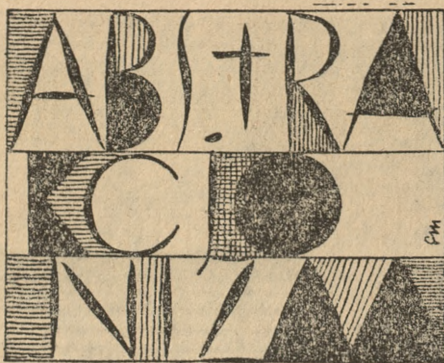
Masina w Polsce

Jak już zapewne wiecie, słynna aktorka włoska Giulietta Masina, znana naszym widzom z filmów „La Strada” i „Noce Cabirii”, przyjechała do Polski. U nas bowiem zostanie nakręconych wiele zdjęć do filmu niemieckiego pt. „Jons i Erdme”, w którym m. in. występuje Masina. Tę część filmu zrealizują filmowcy polscy.

Masina bardzo się cieszy ze swego pobytu w Polsce, mile wspominając nagrodę, którą otrzymała jej mąż, reżyser Fellini od polskich krytyków filmowych za film „La Strada”. Prawdopodobnie Fellini również przyjedzie do Polski.

Na zdjęciu — G. Masina w filmie „Fortunella” który — miejmy nadzieję — będzie również u nas wyświetlany.

FOT — CAF



Na marginesie ostatniej wystawy w Pałacu Działyńskich

O sztuce współczesnej, a więc i w malarstwie nowoczesnym, istnieją różne kierunki rozwoju. Spośród nich poczesne miejsce zajmuje sztuka abstrakcyjna. Ten kierunek nowoczesnego malarstwa jest najmniej zrozumiały dla przeciętnego widza, gdyż przedstawia formy, wykluczające jakiejkolwiek skojarzenia przedmiotowe.

Toteż nie dziwnego, że przeciętny widz przyzwyczajony do malarstwa klasycznego, nie mogąc się dopatrzeć w malarstwie abstrakcyjnym pewnej choćby baśniowej treści przedmiotowej — mimo dobrej woli — kwituje je lekceważącym ruchem ramion lub pobłażliwym uśmiechem.

Aby zrozumieć tego rodzaju dzieło sztuki, trzeba w obrazie widzieć to, co jest w nim namalowane, trzeba w ogóle chcieć patrzeć oraz umieć patrzeć, co jednak nie jest łatwe. Dopiero częste zwiedzanie wystaw sztuki nowoczesnej może wyrobić w laiku właściwy sposób patrzenia.

Nie jeden „zwykły śmiertelnik” oglądając zdeformowane postacie w obrazach kubiistów, czy bezprzedmiotowe formy w obrazach abstrakcjonistów, nazwał nowoczesnych malarzy wariatami. Einstein po opublikowaniu swej słynnej teorii względności, też został okrzyknięty wariatem...

Również współczesne budownictwo ze swoją żelbetową konstrukcją, początkowo drażniło umiarem i prostotą mieszczański smak, przyzwyczajony do pretenstjonalnych, sztucznych ozdób.

Czy można przeciętnemu odbiorcy nowych wrażeń plastycznych te sztuki przybliżyć tylko przez oświadczenie, że nowoczesny artysta „plastik” dzięki dużej wrażliwości wzrokowej i wycuciu formy przeprowadza korektę oglądanej rzeczywistości i pokazuje ją w formie, która jest światem?

domym wynikiem jego twórczości? To z pewnością nie wystarczy, gdyż nie zbliży widza do tego rodzaju malarstwa. Odbiorca nowoczesnej plastyki winien przede wszystkim starać się przyjmować obraz emocjonalnie, traktować go jak pewne malarskie zdarzenie, które, zniekształcając rzeczywistość, chce wydobyc przez to aspekty, wymykające się uwadze przeciętnego widza. Wrażliwość na kolor i wycuciu formy, odczytanie tej artystycznej logiki, wymaga przede wszystkim oswajania się z nowoczesną plastyką. Trzeba przyjąć, że ma ona interpretować rzeczywistość i pokazywać ją w formie intensywniejszej, niż w naturze.

Przeciętny widz patrząc na abstrakcyjną kompozycję wpatruje się przeważnie w szczególne dzieła i zwykle stawia pytanie „co to znaczy?”. To nie znaczy, w dosłownym rozumieniu tego słowa, czyli nie przedstawia drzewa, szafy, zmyrzonej senny itp. przedmiotów czy wyobrażeń przedmiotowych. Na abstrakcyjny obraz należy patrzeć jako na całość, bo tylko całość objęta prostokątem ramy, wyraża pełnię kompozycji oraz wartości emocjonalne, które tkwią w bogactwie formy i w zestawieniu kolorów.

Mimo woli nasuwa się pytanie — jakie wartości dał abstrakcjonizm sztuce?

Taki np. Piet Mondrian, który w swym malarstwie abstrakcyjnym doszedł do pewnego rodzaju geometrii wykreślonej, ograniczonej resztą do stosunków, jakie zachodzą między liniami prostymi przecinającymi się pod kątem prostym — wywarł bezwzględnie silny wpływ na sztukę użytkową i architekturę. Właściwym urzeczywistnieniem jego obrazów jest współczesna plastyka architektoniczna. Sztuka abstrakcyjna jest przede wszystkim akademią plastycznego myślenia i wyznaczała sobie rolę badania stosunków i praw obowiązujących w kompozycji powierzchni czy bryły. Abstrakcjonści w swoich poszukiwaniach odkryli potencjalne wartości emocjonalne, które tkwią w samej formie i kolorze.

Z drugiej strony abstrakcjonizm wywarł duży wpływ na współczesną architekturę, wytworzył przemysłową (np. design materiałów czy meble), rzemieślniczą, sztukę użytkową, malarstwo ścienne, mozaikę, witraż itd. Wizja abstrakcjonistów często wyprzedzała wizję rzeczywistości. Fotografie współczesnych urządzeń związanych z fizyką jądrową, współczesnych maszyn i środków komunikacji — rzadko do złudzenia przypominają abstrakcyjne obrazy czy rzeźby. Wyznaczenie sobie ostatnio przez abstrakcjonistów organizowania określonego otoczenia i określonej przestrzeni przez plastykę, może w przyszłości zrewolucjonizować nasze miasta, fabryki i domy.

Mgr Aleksander ROSA

CHARLIE



Zna go dobrze starsze pokolenie. Ale także sporo część młodszych widzów oglądała jego filmy w klubach filmowych. Charakterystyczne, że są one dla współczesnych, równie atrakcyjne, mimo burzliwego rozwoju filmowej sztuki (dźwięk, kolor, szeroki ekran).

I chyba w tym tkwi wielkość Charliego.

Każdy z jego filmów znajduje drogę do widza niejako na dwu poziomach. Dla odbiorcy mniej wybrednego atrakcją jest warstwa powierzchowna — humor sytuacyjny, żywe tempo. Widz patrzący na film wnikliwiej, dostrzeże poza błazenadą wiele więcej: subtelny liryzm, głęboką prawdę o zwykłym człowieku. Zrozumie, że uśmiech Chaplina jest uśmiechem przez łzy. Ale jednocześnie odkryje na dnie — mimo wszystko — wiarę w człowieka, w jego dobroć, odnajdzie apoteozę życia, weale nie banalną i nie łatwą.

Prypomnijmy sobie wielką scenę małego „Wióczygi”: Charlie, wzgardzony przez piękną kobietę, odchodzi w głąb ekranu. Widzimy jego przygarbione plecy, czujemy jego wielką samotność w perspektywie pustej drogi. Ale już po chwili samotny człowieczek zmienia krok i znów dziarsko wymachuje lasceczką. Charlie przestał być smutny. Powiecie — powierzchowne? Bynajmniej. Pozostaje przecież daleka perspektywa pustej drogi.

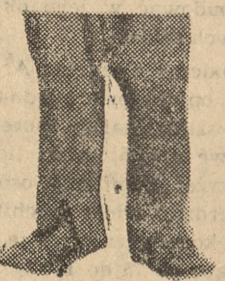
Ta sama droga odejście Chaplin w końcowej scenie „Światła wielkiego miasta”. Tym razem już z ukochaną, której pomaga jak umie w swój błazeński, śmieszny sposób.

Taki jest pierwszy okres twórczości Chaplina. Charlie, człowiek z lasceczką, melonikiem i wykrzywionym bukiem, znika z ekranu, mniej więcej wtedy, kiedy zwyciężyła film dźwiękowy. Przeobraża się w eleganckiego monsieur Verdoxa. Ale scena kończy i tego filmu wygląda podobnie: elegancki pan odchodzi w głąb ekranu, mały i szczupły między zwalistymi sylwetkami, plecami policjantów...

Potem przybiera postać starego aktora. Melodia „Światła starego” ciągle jeszcze rozlega się z głośników radiowych, podobnie jak „leitmotiv” „Światła wielkiego miasta”. Chaplin jako kompozytor również nie chce się zesterzować...

Ostatni jego film — to „Król w Nowym Jorku”. Chaplin znów wraca w nim do Stanów Zjednoczonych. Opuścił je — mimo że był jego drugą ojczyzną. Był bowiem nie tylko scenarzystą, reżyserem, aktorem, kompozytorem i producentem swych filmów. Był człowiekiem niezależnym w pełniejszym tego słowa znaczeniu. Zbyt niezależnym, jak przystało na Hollywood. Przez cały czas stał niedwuznacznie po stronie zwykłego człowieka.

Obecnie, w Szwajcarii, ukończył 70 rok życia. Podobno oświadczył, że „Król w Nowym Jorku” jest jego ostatnim filmem... Nie wiadomo. (jb)



ARTYKUŁ DYSKUSYJNY

Wieszczcy i ambicje

Nigdy nie miej zaufania do tych, którzy udają świętych; nawet w miejscach pobożnych pielgrzymek napotkasz można obłudnych pokutników. („Pańczatantra”).

Środowisko artystyczne Poznania znajduje się na trudnym etapie dorastania do poziomu jaki nadaje Warszawa i Kraków. Życie kulturalne naszego miasta skupia się głównie w Klubie Międzynarodowej Prasy i Książki oraz w Studenckim Klubie „Od nowa”. Tu i ówdzie słychać głosy, że środowisko u nas w ogóle nie istnieje. Jest w tym tyle prawdy, ile nieprawdy. Jeśli weźmiemy pod uwagę wieszczków, którzy za wszelką cenę, nie oszczędzając gardła, pragną stworzyć mit o sobie, to stwierdzimy od razu, że nie jest to chyba środowisko takie, na które można liczyć. Ale jeśli rozpatrzymy fakt, że w Poznaniu mamy do czynienia z rzeczywistym szeroko zakrojonym ruchem kulturotwórczym — to sprawa ta z

punktu zmienia swoje oblicze.

Istnieje w Poznaniu kilka grup literackich i plastycznych, działają młodzi twórcy, którzy z pewnością mają niejedno do powiedzenia. Gdyby jednak panowała lepsza atmosfera, z większą dozą tolerancji dla cudzych poglądów artystyczno-twórczych, wtedy sprawa dorobku środowiskowego przedstawiałaby się prawdopodobnie inaczej. Dopiero w takich warunkach można by myśleć o stworzeniu środowiska, na którym nam wszystkim zależy. Szczególnie ważne jest to, aby wszelkie spory miały jedynie charakter kulturalnych dysput dla dobra sztuki i społeczeństwa, a nie tylko własnych interesów.

W naszym środowisku, które cechuje znaczny nieład myśli i pociąganie, istnieje walka i tarcia przede wszystkim o tak zwane dojsie do Parnasu. Są to jednak manewry misternie zawaolowane dyskusjami niemalże o ideałach. Już w starożytnych Indiach miano z tym kłopot. Tak mówi przynajmniej zbiór mądrości i praw przygotowany dla kształcenia królewskich synów — „Pańczatantra”. Tych kilka słów zawartych w motcie zawiera wielką prawdę. Wiele młodych twórców przedstawia się społeczeństwu w niewłaściwym świetle, dyskrzynując samych siebie. Głównym grzechem jest tolerowanie dyktantyzmu, piaskowego dyktantstwa i pozy. Nader często pod wielkimi frazesami kryje się ubóstwo myśli. Wychodzenie nad publiczność, o ile jednocześnie nie myśli się poważnie o wzbogacaniu i ulepszeniu warsztatu — niewiele przysporzy szacunku, nie podniesie znaczenia twórcy w oczach społeczeństwa. Jeżeli się tego nie rozumie, co — pozostaje okazywanie pogardy wobec publiczności, zwalanie winy na „guściki”. Iluż to wieszczków nie widzi siebie takimi, jakimi w istocie są! Zapatrzeni na własny geniusz liczą złudnie, że ludzie padną na kolana w hołdzie wielkości. A przecież właśnie twórców mają w przyszłości wyrosnąć (przepraszam za patos) inżynierowie ludzkich dusz. Dobrym zjawiskiem jest to, że bronią oni zaciekle własnych pozycji i poglądów. Muszą jednak być zdolni do trzeźwej samooceny. A także do tolerancji względem innych, takich jak oni — entuzjastów. Entuzjazm to wielka zdobycz młodości, który trzeba pielegnować, gdy potrafi czynić cuda. Tutaj pragnę nawiązać do cennej inicjatywy Wydziału Propagandy, Oświa-

WYSTAWA DERWICHA



Henryka Derwicha dobrze znają czytelnicy poznańskich dzienników. Zbiór jego zabawnych rysunków możemy obecnie obejrzeć na wystawie Ligi Przyjaciół Żołnierza zorganizowanej w Klubie Oficerskim przy ul. Niezłomnych.

Derwich przy całym swym stoickim spokoju (podobny w sposobie podejścia do humoru słownego Załuckiego) wywołuje wybuchy śmiechu nie tylko na estradzie, ale w pozornie martwym rysunku.

Przed dwoma laty bodajże, mówiono wiele na temat wydania w postaci książkowej wybranych, najcenniejszych rysunków Henryka Derwicha. Byłoby to w dalszym ciągu bardzo wskazane. Ostatecznie powinniśmy pokazać ludzi z naszego regionu, którzy wnoszą wiele — jak w tym wypadku — do satyry.

Wystawa Henryka Derwicha warta jest zobaczenia; można się pośmiać do syta. Spójrzcie choćby na reprodukowany rysunek...

(thn)

WĘDRÓWKI PO STARYM POZNANIU



Dnia 30. 4. 1914 r. powstała przy Poznańskim Towarzystwie Krajoznawczym autonomiczna sekcja Miłośników Miasta Poznania.

Nie to ważne, jaki jest dorobek Towarzystwa w czasie i przestrzeni. Interesuje szczególnie sprawę klimatu, w jakim pracowali i pracuje. Osobliwością tego klimatu jest milczenie wokół wkładu Poznania do ogólnego dorobku społecznego, do kultury polskiej.

SĄDY i OSĄDY

Nie nowina to bynajmniej dla tubylców, gdy pewien hałaśliwy, młody architekt obwieszcza „uskrzydloną” nietaktem opinię, że „Jan Chr. di Quadro” nie urodził się w Chwałiszewie. To prawda, ale skromnie pozwalamy sobie zaświadczyc, iż owocownego Pana Burmistrza i Panów Rajców stać było nie tylko na związanie włoskiego arcymistrza z tym Miastem, ale nadto i na własną wobec niego ocenę wobec jego dzieła i działalności. Inaczej nie mielibyśmy najpiękniejszego ratusza. Poza tym dodajemy nawiasem, że na Chwałiszewie urodził się niejaki — Karol Libelt.

Razem też z warszawskim Radeim wstydźmy się i milczeniem pokrywamy niepotrzebny fakt, że pierwsze wydanie bajek Andersena wyszło u Merzbacha w Poznaniu. Słusz-

nie nasza stołeczna rozgłośnia przemilczała Poznań. Bo też rzecz to niestychana, by taką pozycję wydawać w takim środowisku.

Także niepotrzebnie chwalamy się pierwszym polskim naukowym czasopiśmie przyrodniczym, które w latach 1856 — 1858 Julian Zaborowski pt. „Przyroda i Przemysł” wydawał.

Aby to wszystko zrozumieć i uznać, trzeba by być obiektywnym, trzeba by niekiedy coś niecoś poczytać, postudiumować. A to nudne, czasochłonne, nadto zobowiązuje do odpowiedzialności i lojalności. To ostatnie jest najgorsze.

Już w roku 1907 p. Adolf Nowaczyński, po trzydniowych „rekolekcjach zamkniętych” w poznańskim Towarzystwie „li-

(Dokończenie na str. 3)



Turystyka — to temat pełen słów i ciepła, bez względu na porę roku. Wiele ukazało się przewodników, mamy kilka czasopism, wszystkie chętnie czytane, bo ruch turystyczny-krajoznawczy ogarnął nawet wieś. Ale dalej się zauważył brak publikacji o pionierach tego ruchu, o pierwszych organizatorach.

U nas ten ruch zapoczątkował po pierwszej wojnie prof. gimn. im. Dąbrowski — Jan Kilarski. Pokazał piękno i egzotykę naszych stron, wychował pierwsze pokolenie turystów.

Niemale zasług w poznawaniu ziemi rodzinnej ma Aleksander Patkowski, pierwszy z wędrowników po Ziemi Sandomierskiej, organizator blisko 30 wycieczek po Polsce, twórca Powiatowych Uniwersytetów Regionalnych, inicjator Pierwszego Ogólnopolskiego Kongresu Krajoznawczego w Poznaniu, współtwórca Parku Narodowego im. St. Zeromskiego w Górach Świętokrzyskich.

Dobrze się stało, że Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza jedna z ostatnich książek poświęciła postaci Aleksandra Patkowskiego. Książka zawiera oprócz wspomnień, publikacje Patkowskiego na temat turystyki i krajoznawstwa w kraju i za granicą, jego uwagi i myśli. Znaleźć tu także można wiele szczegółów potrzebnych wielkopolskiemu „autostopowiczowi”, piechurowi czy rowerzyście wędrującemu po Sandomierszczyźnie.

Wytrawny turysta i krajoznawca — bo na takiego czytelnika książka liczy — znajdzie w niej wiele interesujących spraw.

(p)

*) Aleksander Patkowski: „W hołdzie ziemi rodzinnej” — LSW 1958 str. 317, cena 30 zł.

Nowości

O tym, że ruta jest cennym lekiem, wiadomo od niepamiętnych czasów. Już w pewnym poradniku lekarskim z XII wieku zalecano rutę, która miała działać na wzrok, na świeżość umysłu i na... płodność kobiet. Ale dopiero w 1942 r. nowocześnie medycyna potwierdziła lecznicze właściwości ruty, wykrywając w jej ziele jeden z najlepiej poznanych związków typu witaminy P-glikozyd flawonowy, czyli rutynę. Herba Rutae stosowana jest obecnie jako lek na przemianę materii, przy obrzękach wątroby, przy arteriosklerozie, dusznicy, zaburzeniach wzrokowych itd.

Szereg nowych cennych surowców dotychczas importowanych odkryto w Polsce w roku ubiegłym. A więc wydzieli się obecnie z piasków nadmorskich ilmenit i cyrkon — cenne surowce do otrzymywania rzadkich metali, potrzebnych dla różnych gałęzi przemysłu.

Ale co dalej?

Dowody życia roślin na Marsie już mamy

Niemalą rewelacją stały się wyniki dotyczące życia roślinnego na Marsie, uzyskane przez amerykańskiego astronoma W. M. Sintona. Zdaniem jego są one dostatecznym dowodem istnienia przyrody na tej planecie. Referat Sintona wygłoszony na kolejnym zjeździe amerykańskiego Towarzystwa Astronomicznego na Florydzie wywołał co najmniej sensację. Nie dziwnego. Od blisko 100 lat trwają obserwacje, ale jeszcze nikt nie doszedł do tak konkretnych wniosków.

Długoletnie obserwacje astronomów wykazały, że większość przestrzeni Marsa zajmują obszary pustynne, pokryte żółto-czerwonym piaskiem i pyłem. Pozostałą część stanowią „morza” o kolorze zielonkawo-szarym. I właśnie te przestrzenie najbardziej interesują astronomów. Sposprzeżono bowiem, że ich wygląd (kolor) ulega zmianom zależnie od pory roku. Wynikałoby z tego, że tak jak u nas, następuje tam zamieranie i ożywianie roślinności. Natomiast „morza” nie zmieniają swego kształtu, nawet wtedy, gdy na Marsie szaleją burze piaskowo-pyłowe. Jest to dowodem posiadania przez nie zdolności regeneracji.

Druga grupa astronomów jest przeciwnego zdania. Twierdzi, że w mroźnym klimacie Marsa (otrzymuje on od słońca 2,5 raza mniej ciepła niż Ziemia) nie mogłaby żyć żadna roślinność podobna do naszej. Tę hipotezę przekreśliło, życie roślinności na Ziemi (porosty), które nie wymierają nawet w najbardziej nieodpornym klimacie.

Przyrodą na Marsie zainteresowali się także amerykańscy biolodzy. W specjalnych zbiorach przypominających

Nie tylko dla hipochondryków

TOXOPLAZMA GONDII

czyli: panie i panowie, myjmy ręce!

Magister Jerzy Jaworski zaprasza mnie do małego pokoiku, w którym — oprócz białego parawanu i kilku oszklonych szafek z medykamentami — stoi również biurko. Ten pokój i przyległe doń, równie ciasne, laboratorium, to całe królestwo p. Jaworskiego, a także całe — jak dotąd — pole walki z toxoplazmą gondii. Nie, to nie jest żaden twór, nasłany nam przez zagniewany naruszeniem jego spokoju kosmos (vide film: „Zemsta Kosmosu”). To jest...

— Co to właściwie jest, Panie Magistrze?

— Pasożyt, o wielkości 0,001 milimetra. Od 50 lat znany jest w świecie biologów jako pasożyt zwierzęcy, od 15 lat — również jako pasożyt ludzki.

— Skąd taka egzotyczna nazwa?

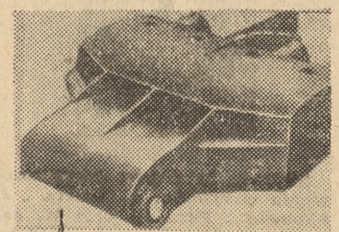
— Nazwa pochodzi od algijskich zwierząt ctenodactylus gondii, na których owego pasożyta znaleziono.

— Czy grozi nam zetknięcie z toxoplazmą?

— Nie ma prawie dziedziny w medycynie, w której toxoplazma nie odgrywałaby pewnej roli. Największe spustoszenie czyni jednak ten pasożyt w położnictwie, pediatrii i psychiatrii, a także w okulistyce. U kobiet ciężarnych zarażenie toxoplazmą objawia się może w chronicznych poronieniach, zamarciach płodu lub urodzeniach dzieci niepełnych. W innych przypadkach charakterystycznymi objawami zakażenia mogą być nadmierna nerwowość, pobudliwość, wybuchowość. Spodziewać się również należy, iż wielu spośród małych mieszkańców naszych czterech domów dla dzieci niedorozwiniętych — dotkniętych jest tą właśnie chorobą. Bezpośredni zaś atak toxoplazmy na organizm człowieka wygląda mniej więcej tak: pasożyt przenosi się z organizmu zwierzęcego (roznoścą go przeważnie gryzonie: szczury i myszy, a także psy i koty) na organizm ludzki, atakując głównie mózg i wątrobę. Zdrowy człowiek, zarażony toxoplazmą przechodzi do niekiedy jako zatrucie przewodu pokarmowego lub lekką grype. Otorbiony pasożyt może być pozornie niegroźny, ale prawdopodobnie wywołuje on pewne — mniej lub bardziej silne — zaburzenia w psychice i układzie nerwowym wydzielając trujące substancje. Zupełnie wyraźnie zaś daje znać o sobie w przypadku ciąży. Działalność pasożyta w organizmie ludzkim nie jest jeszcze, niestety, zbyt do końca znana medycznie, ponieważ badania naukowe nad toxoplazmą są dopiero w stadium rozwoju. Związki, jeśli chodzi o Polskę.

— Może zechce Pan powiedzieć parę słów na ten temat...

— Zainteresowanie toxoplazmą jest na całym świecie ogromne. W Kopenhadzie np. jest specjalny Instytut Toxoplazmy zatrudniający profesora i 8 asystentów. U nas badania nad toxoplazmą rozpoczął Instytut Chorób Morskich w Gdańsku. Przebadano 450 osób zdrowych — u 24 proc. badania dały wynik, wskazują



Jedna z firm amerykańskich wyprodukowała dosłownie cztery turbodźwigające potężne silniki. Samochód ten porusza się bez kierowcy po specjalnej drodze, posiadającej kierownicze urządzenia. Szybkość jego wynosi 320 km na godzinę. Nowy wóz przeznaczony jest do badań różnego rodzaju typów zespołów hamulcowych.

(opr.: as)

(em)

cy na obecność toxoplazmy w organizmie. Przebadano również 950 pacjentów zakładu dla umysłowo chorych w Kocborowie i stwierdzono 50,5 proc. zakażeń toxoplazmą. Dyrektor gdańskiego Instytutu — dr doc. Zbigniew Kozar jako pierwszy w Polsce naukowiec zajął się badaniem toxoplazmy. M. in. napisał on jedyną u nas na ten temat książkę pt. „Toxoplazmoza”. Jego pracy nikt — jak dotąd — nie przejął. Coś zaczyna się w tej dziedzinie robić w Krakowie, coś w Lublinie — ale to są dopiero pierwsze nieśmiałe kroki. U nas — jak pani widzi — mam do dyspozycji te dwa pokójki przy Miejskiej Poradni Zdrowia Psychicznego. Tu pracujemy razem z laborantem. Nie mamy niestety zwierciadła, a musimy np. hodować białe myszy dla doświadczania w celach produkowania antygenów do szczepień badawczych.

— Czy Pan przeprowadza takie badania?

— Tak, badamy osoby przychodzące tu ze skierowaniem lekarskim np. kobiety u których zanotowano nawykowe poronienia. Nawiązałem też kontakty z obiema poznańskimi klinikami położniczymi, gdzie badam pacjentki z różnymi powikłaniami ciążowymi. Badania te przeprowadzamy metodą serologiczną, tzn. wstrzykujemy pacjentom antygen, czyli toxoplazminę. Jeśli w organizmie znajduje się toxoplazma, wstrzyknięcie toxoplazminy wywołuje reakcję skórną w postaci zaczerwienienia wokół miejsca nakłucia.

— I co wtedy? Jak się to leczy?

— Jeśli wynik badania jest dodatni — lekarz rozpoczyna leczenie, polegające na dawkowaniu pewnych specyfików. Toxoplazmę można w ten sposób w przeciągu kilku tygodni zupełnie zwalczyć.

— Czy ma Pan jakieś widoki na polepszenie warunków swej pracy?

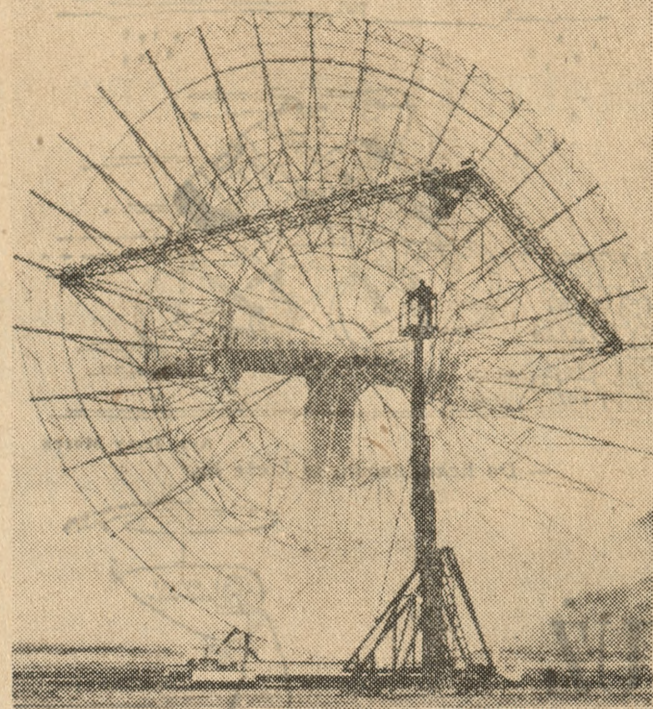
— Owszem, od 1 lipca otrzymamy więcej etatów i — być może — inne locum. Liczymy bardzo na rozpoczęcie budowy gmachu Poradni Specjalistycznej, w którym otrzymalibyśmy odpowiednie pomieszczenia i w którym nareszcie dałoby się urządzić zwierzęciarnię.

— Jeszcze jedno pytanie: jak się strzec przed tym złośliwcem?

— Metoda profilaktyczna jest tu bardzo prosta: przestrzeganie higieny w najściślejszym tego słowa znaczeniu. Związki przy czystych kontaktach z — czworonogami.

Rozmawiała:

W. CHILA



„Wielkie ucho“

Taką nazwę otrzymał olbrzymi radioteleskop (średnica około 27 m) Kalifornijskiego Instytutu Technologii Big Pine, odbierającego sygnały z gwiazd.

Winda, którą widzimy przed radioteleskopem, jest najwyższą tego typu windą w USA. Można na niej osiągnąć wysokość blisko 17 m w ciągu niecałej minuty.

Fot. — CAF

W PODZIEMIACH ZAMKOWYCH

Liniane portki, na nich liniana koszula przepasa na sznurkiem, na nogach łapcie i kowce. Ponoć ongiś wielki rękaw, ale zawsze skromny, choć z jego zdaniem sam król Kazimierz się liczył.

— Przyszedłeś z XX wieku. Tak, tak. Wiem. Tam u was młodzieki chodzą w wąskich porciutach, brody zapuszczają, niby to męskość chcą pokazać, ale znieśliście i białogłowskie maniery mają. Ech! — kiwnął ręką. — A może na pijesz się? Mam tu dzban lipca. Mówię ci — niebo w góbie! Sekret robienia tego napitku ci zdradzę: Część miodu, dwie wody a drożdży garstkę, aby sfermentowało.

Ale mnie spieszyło się z tym, co zowiecie wywiadem. Wziął więc mnie pod rękę i powiodł po zamku kaliskim.

— Widzisz, Skrybo, to jest zamek nowy, otoczony wysokim na 18 łokci murem i obalany wodą. Ciąglinie się około grodu na 1800 m, ma 15 baszt i 4 bramy: Łazienną, Piskorzewską, Toruńską i Wrocławską. Popatrz na mury! Ceglane i szerokie, po nich chodzić można. Gdy miasto padnie, wrogiem trza będzie dobywać warownię. A bywa i na opak. Właśnie tu Krzyżacy w r. 1331 zdobyli zamek, a od miasta ciecgi ponieśli. Tu spichrze, zbrojownie, stajnie, komnaty. Ale widzisz, jeszcze jest coś, co ratuje załogę w razie porażki.

Zapałił łuczycywo i poprowadził w podziemia. W pewnym miejscu spod muru odsunął głaz.

— Ten loch prowadzi pod Prosną i rozlewiskami do starego zamku, hen za miasto.

— Wiele lat budowaliście ten tunel?

— Nie zliczyłbym. Robili go jeńcy wojenni i to z dwóch stron razem. Mogę ci dodać, że jeden ksiądz w pierwszej wojnie naszego wieku XX, gdy Germanie go chcieli zabić, wtedy właśnie uciekł i wyszedł szczęśliwie na Starym Mieście. Taki sam tunel łączył na Pomorzu Grudziądz ze Świeciem. Byłem tam przecież na Górze Zamkowej i patrzyłem w stumetrową studnię, na dnie której otwór prowadził pod Wisłę.

Bodzanta usiadł na murku pod framugą, skośnie pod górę prowadzącą ku światłu dziennemu.

— Zamki za naszych czasów budowało się różnie. I spiesznie, i powoli. Na zamek we Włodzimierzu trzystu ludzi przez dwa lata woziło wapno, cegły i kamienie. Razem przeszło 2 tysiące wozów! Niemało to podwój kosztował zamek w Ostrzeszowie, w Kole, w Gołańczu! Czasu na to nie żałowaliśmy.

Ale jeszcze dawniej inaczej było. Jeszcze za pradziadków naszego Kazimierza grody z drzewa stawialiśmy.

Opowiem o Santoku. Nasz pobudowali tu zamek, który bronił przejścia z Pomorza do naszego kraju. Pomorzanie w odwet postawili drugi dębowy, z wałami i fosami i tak blisko, że w jednym zamku słychać było rozmowę z drugiego. Bolesław Pobożny na miejscu starego zbudował kazał nowy. Warownia stała się ciągiem miesiąca. A kiedy ksiądz do Krakowa pojechał — margrabia brandenburski — Otto w jednym miesiącu lutym, postawił w mieście drugi, ale dla siebie. Aby intruzą stamtąd wykurzyć. Bolesław wybudował zamek Drdzeń (Dreznko), i to w ciągu 8 dni! Późniejszy książę Przemysław I, gdy Nakło opanował Mszczuj pomorski, od zachodu tego grodu postawił nową warownię w kilku dniach i wojskiem obsadził. A więc czasem szybciej budowaliśmy niż wy teraz...

— Powiedźcie mi, Bodzanto, jak można było zdobyć taki zamek mury? Bo drewnia — wiadomo — ogniem.

— Ogniem, fortem, głodem, przekupstwem. Bratanek Jagiełły — Zygmunta Korybutowicz, nie mogąc zdobyć Karlsteina, dwa tysiące garnków ścierwem zdechłych zwierząt i odchodami żołnierzy na pełnię kazał i rzucić do wnętrza zamku. Od tego powietrza obrońcom zęby się chwiałały.

Wysłaliśmy z zamku na podwórze. Oślepiło mnie słońce i ogłuszył gwar chłopców. Na miły Bóg, toć przecież jesteśmy na podwórzu kaliskiego Liceum im. Adama Asnyka!

SKRYBA

(Dokończenie ze str. 2)

trzymam” — oficjalnie „literackim” — machnął sobie w „Świecie” paszkwilantowi — nagrodę Miasta Poznania. Ma się też obiektywność! Z drugiej strony, kiedy nagrodę Miasta przyznał Romanowi Dmowskiemu, kółka intelektualne Poznania oceniali fakt ten jako czysto polityczną manifestację, obcą duchowi sprawiedliwości. Dmowskiemu przyznano nagrodę literacką, do której kandydował Stanisław Przybyszewski.

W r. 1912 Ludwik Ramocki wydał w Warszawie powieść pt. „Hakata”. Ten były adwokat poznański bardzo krzywdząco przedstawił poznańskie społeczeństwo. W ten sam ton uderzył Aleksander Świętochowski w artykule „Gasnąca kultura polska” („Kultura Polska” — 1912). Wolał, że w Poznaniu i ziemie stracona i język zniekształcony, że całkowicie zanik literatury, nauki,

Poznaniacy jakoś mimo wszystko przetrwali i po latach przyznali temuż właśnie paszkwilantowi — nagrodę Miasta Poznania. Ma się też obiektywność! Z drugiej strony, kiedy nagrodę Miasta przyznał Romanowi Dmowskiemu, kółka intelektualne Poznania oceniali fakt ten jako czysto polityczną manifestację, obcą duchowi sprawiedliwości. Dmowskiemu przyznano nagrodę literacką, do której kandydował Stanisław Przybyszewski.

W r. 1912 Ludwik Ramocki wydał w Warszawie powieść pt. „Hakata”. Ten były adwokat poznański bardzo krzywdząco przedstawił poznańskie społeczeństwo. W ten sam ton uderzył Aleksander Świętochowski w artykule „Gasnąca kultura polska” („Kultura Polska” — 1912). Wolał, że w Poznaniu i ziemie stracona i język zniekształcony, że całkowicie zanik literatury, nauki,

sztuki. Miejsce kultury zająłaby instynkt samozachowawczy, zapelnia się kieszeń, żołądek, spichrze, komory.

Obok dyszkantu Nowaczynskiego i patetycznego zawołania Świętochowskiego, nutkę swoją ciągnęli Feldman i Studnicki. Dziwne tylko, że lamenty te nie pocieszały Niemców, którzy stwierdzali nie tylko wzrost odporności gospodarczej elementu polskiego, ale co gorsza, jego demokratyzację i upowszechnianie kultury polskiej w W. Księstwie Poznańskim.

Poznaniacy bronili się jak mogli przed tymi zaczepkami braci rodaków, z konieczności jednak głównie w własnej prasie. Nie byli jednak osamotnieni. W nr. 19 „Tygodnika Ilustrowanego” (1912) zabrał głos Zdzisław Dębicki. A Ludwik

Straszewicz tak pisał w warszawskim „Słowie”:

„Ze wszystkich ziem polskich jedynie w zaborze pruskim naród nasz jest zagrożony w swym bycie. Nad zaborcem pruskim wisi najwyższe niebezpieczeństwo, najstraszliwsza groza... Niemiecka potęga olbrzymia. Państwo wysyła nie tylko urzędników sprawnych, ale zalewa powodzią ziemie, rolników, milionów idą na zagładę naszą... Wielkopolska się broni! Podziw budzi w Niemczech!... Ale obrona trudna! Bardzo trudna! Siła tryumfuje nad prawem!... Nieprawda, że Poznańskie jest jałowe w dziedzinie literatury, sztuki, nauki. Przeczą temu fakty, znane powszechnie. Na miejscu nie znajdują warunków koniecznych, za to nie ma pola pracy publicznej, nie ma warsztatu społecznego w Królestwie i Galicji, gdzieby można było nie spotkać Poznań-

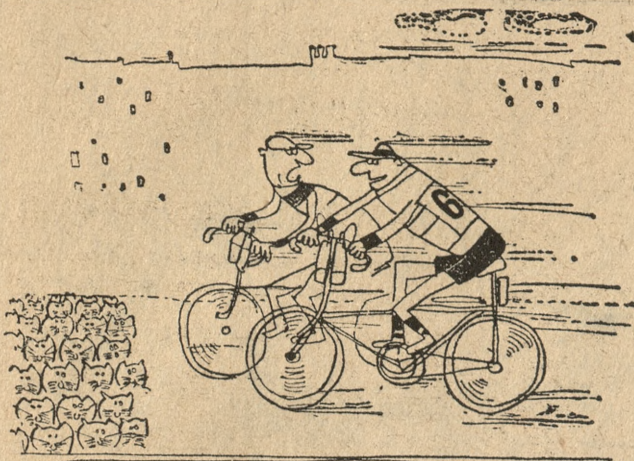
czyków na wybitnych stanowiskach — dają nam swoją wiedzę, swoją gorliwość, swoją sumienność”.

Z drugiej strony, społeczeństwo nasze przyjmowało zawsze, dostojnie zawsze, wszystkich dobrej woli i pracowitych rąk.

Różne nasuwają się wspomnienia i refleksje w dnach 45-lecia zaślubienia Towarzystwa Mł. M. Poznania. Wśród członków Towarzystwa nie widzimy najpotrzebniejszych: postów, radnych, kierowników wydziałów i działów Zarządu Miasta, brak też literatów, artystów, inżynierów... Ongiś bywało lepiej pod tym względem. A przecież Towarzystwo, choć szanuje przeszłość, stoi twarde przy budowie dnia dzisiejszego i świadomie pracuje tylko dla przyszłości.

A więc Obywatele?!

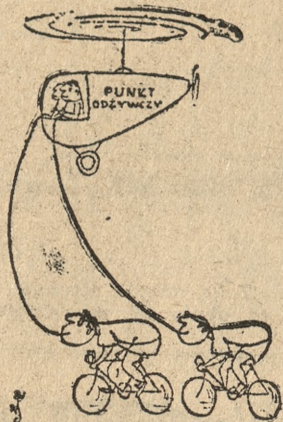
WIKTOR TUTEJSZY.



Rys. Jerzy Morek

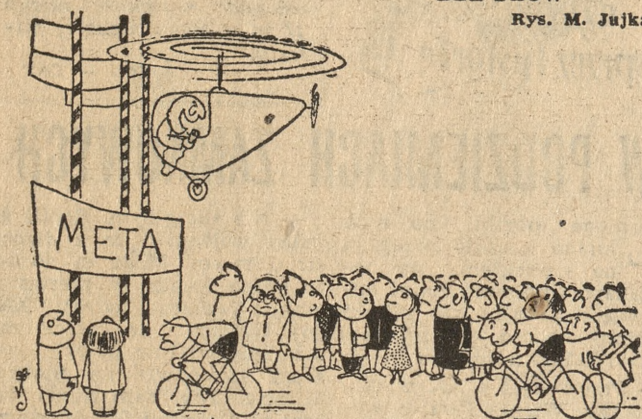
— Do licha, znowu te kocie lby!

JUŻ KREĆCĄ!...



BEZ SŁÓW

Rys. M. Jujka



Rys. M. Jujka

— Drodzy słuchacze, jeszcze dwie sekundy, jedna, pół...



Czy pamiętacie film pt. „Powrót Lessie”, w którym w roli tytułowej widzieliśmy sympatycznego owczarka? Niedawno Lessie otrzymała specjalną nagrodę za najlepszą „kreację” zwierzęcą. Laureata „zwierzęcego Oscara” widzimy na zdjęciu obok kota o dość skomplikowanym — jak dla nas — imieniu Pyewacket, który również zdołał być puchar.



Atmosfera tajemnicy, sensacji i grozy, problem bandyckiej miłości i honoru — oto materiał, który skusił amerykańskiego reżysera Jules Dassin, po przeczytaniu ogromnie na zachodzie popularnej książki „Du Rififi chez les Hommes” — pióra A. Bretona. Powstał w ten sposób doskonale zrobiony film pt. „Rififi”, do którego zaangażowano nie mniej od książki popularną Magali Noel. Ale najciekawszy jest J. Servais w roli bandyty z „zasadami” (na zdjęciu u dołu). Znana piosenka „Rififi” pochodzi właśnie z tego filmu.

FILM



„Śladami bandy” — wędruje widz wraz z prowadzącymi śledztwo przez dwie godziny trwania tego filmu. Jego twórcy starali się pełen napięcia „kryminał” jak najbardziej zbliżyć do życia, nadając mu walor obyczajowego dokumentu. Produkcja radiowska, reżyseruje N. Dostal.



Tym Czytelniczkom, które zamierzają uszyć sobie nowe kostiumy kąpielowe, prezentujemy modne wzory. Przeważa typ jednoczęściowy, choć podobno kostiumy „bikini” są w łańskim ciągu modne. Przy jednoczęściowym obowiązuje obecnie duże wycięcie na plecach. Zwróćcie też uwagę na kapelusiki.

Rozwiązanie krzyżówki

K	O	K	O	R	A	R	U	N
A	D	K	O	D	P	L	K	O
D	E	M	O	N	S	A	M	A
E	R	A	K	A	N	A	L	I
T	O	R	S	A	P	I	S	I
S	T	E	F	H	A	N	W	
K	P	A	R	A	P	A	M	
A	T	E	L	O	S	A	M	
C	A	P	A	K	R	A	T	A
A	R	A	K	A	L	F	O	
P	A	L	A	C	B	E	K	O

Nagrody książkowe drogą losowania otrzymają: A. Mizerska i J. Skomski z Poznania oraz W. Jędrzejka ze Szwarczowa, A. Jasińska z Sulęcina, Z. Wilgocka z Krotoszyna, M. Szczepankiewicz ze Strzałkowa i K. Kłosowska z Wrzesni.



Mam bardzo brzydkie szczęście. Wczoraj znowu spotkałem znajomego, który wymownie trzymał się za policzek. Dobrze, że nadszedłem w porę. — Mógłbyś nieco uważać! — powiedziałem odciągając go od tramwaju. — Pogotowie i bez ciebie ma pełne ręce roboty. — Wszystko mi jedno — odparł. — I tak powiesz się, jeśli to potrwa dłużej. Wziąłem go mocno pod ramię i poprowadziłem do najbliższej po radni. Przyjęła nas młodziutka rejestratorka. Uśmiechnięta, z zadartym lekko nosem, podobna mi się bardzo. — Panowie w jakiej sprawie? — Ten pan potrzebuje natychmiastowej pomocy. Zamierza popełnić samobójstwo... A wszystkim winien jest ząb. W jej bardzo niebieskich oczach dostrzegłem współczucie. Podeszła bliżej. — Wielka szkoda, że nie przyszedł pan z zapaleniem płuc. Lekarz dyżurny pomógłby zaraz. Lecz z zębem... Mogę

jedynie dać tabletkę. Nasi stomatolodzy nie przyjmują w niedzielę. — Dokąd więc mamy się udać? — Nie wiem — odpowiedziała zmieszana. — Może na Kasztanowej... Znajomy oburzył się nagle. — Zdechnąć można od takiej pomocy! Patrzcie tylko, by się pozbyć. Przed godziną odesłano mnie na Piątką. Wyprowadziłem go na ulicę. Szedł potrącając wciąż kogoś. „Pijanica”! — syknęła utleniona piękność, której naderpnął na odcisk. Postanowiłem dalszą drogę odbyć tramwajem. Wszędzie wozy były przeładowane na pomostach. Z trudem weszliśmy do wnętrza. Otarłem spoczone czoło i spojrzałem nieco pogodniej po otoczeniu. Tylko znajomy siedział jak manekin trzymając się rozpaczliwie za szczękę. Ożył dopiero przy przystanku naprzeciw trzeciej z rzędu przychodni. Wspinając się po krętych schodach, pocieszyłem go, że tutaj na pewno jego mecie położy ostatni kres, a muzeum rodzinne wzbogaci się o

nowy eksponat w postaci schorzonego zęba. Omijając zacytaną w „Przyjaciółce” pielęgniarkę, weszliśmy do gabinetu lekarza. Był wysoki i barczysty. „Ten nie będzie się bawił” po myślałem. „Załatwi od razu”. Lekarz pokiwał ze zrozumieniem głową i pod-

wić, lecz panu to się nie udało!... — Będąc w roli chorego, też bym kłął na takie porządki — przerwał nie podnosząc głosu. — Lecz naprawdę jestem bezradny. Tu musi stomatolog... — Czemu więc nie pójść do dyżuru jak pan?! — Widocznie nikogo

przerwami — powtarzałem to kilkakrotnie. Wreszcie drzwi otworzyły się odsłaniając głowę w papilotach. — Panowie sobie życzą? — Do pana doktora. Zaraz... Prywatnie... z zębami!... Głowa w papilotach za myślała się. — Strasznie mi przykro — powiedziała wreszcie. — Pan doktor sam jest chory. Ma ciężką anginę. Może panowie udadzą się... — Dość tego! Dość, do jasnej mamy! — wrzasnął znajomy straszonym głosem i ruszył ku schodom. Dogoniłem go dopiero w bramie. — Co zrobiłeś, wariacie?! Chciała nam przecież doradzić... Wybiegł na ulicę. Trzymając go za rękaw marynarki, zacząłem błagać, by nie robił głupstw. Znajdź się przecież wreszcie jakiś dentysta! Lecz nie chciał o tym słyszeć. — Zaprowadź mnie do domu! — powtarzał z uporem... — Czas najwyższy z tym skończyć — pomyślałem. Poszliśmy. — Mój Boże, Karolku! Jak ty wyglądasz! —

zaszłochała żona zalemując rękę. Odepchnął ją szorstko ciągnąc mnie za sobą. Staliśmy w środku pokoju nie wiedząc, co począć. Pani domu drepnęła przy mnie, biadoliła głośno. Za to znajomy nie próżnował. Szukał czegoś z pasją wyracając rupiecie w szufladach ogromnej szafy. Wreszcie z tryumfem podszedł do mnie trzymając w ręce zarżniętą obcęgi. — Masz, rwij! — powiedział groźnie. Rwij, bo... Zadrzałem z przerażenia. Oszałał. Naprawdę oszałał!... Ścisnął kurczowo kapełusz skoczyłem ku wyjściu, lecz złapali mnie w porę. Po dwudziestu minutach odprowadzany przez rozradowanych małżonków i zapewniany o wieczystym długim wdzięczności oraz dogłonnej przyjaźni, wyszedłem — szczęśliwy — na ulicę. Na drugi dzień w południe zabrał mnie milicyjny gazik. Będę odpowiadał za nielegalną praktykę lekarską. Eugeniusz KOBYLECKI

przypomniał. Wtedy sześć przedmiotów o kształtach monet doznało manewru, który dotychczas podziwialiśmy i zaw sze będziemy podziwiali: wszystkie razem położyły się na boku, prześlizgując się jeden obok drugiego aby odwrócić formację. Już w nowym szyku — rozbiły się do poprzedniej siły świecenia i w zawrotnym tempie poczęły oddalać się od nas. W tym czasie dwa inne obiekty wpadły w pole widzenia spod prawego płatu maszyny. Były większe i jaśniejsze od poprzednich, może dlatego, że miały wyższy pułap. Nagle pierwsza formacja zgasła — zupełnie równocześnie jakby ktoś zgasił sześć żarówek jedynym naciśnięciem guziczka. Prawie natychmiast zgasły dwa pozostałe pojazdy. Po upływie sekundy rozbiły się — tym razem eskadra uformowała się w linię. Tak przepłynęły nad wschodnią granicą Newport News i jeszcze dalej. Upłynęło zaledwie kilka sekund, a staliśmy się świadkami operacji zatykającej dech w piersiach: z nieprawdopodobnym przyspieszeniem statki strzeliły w niebo pod kątem 45 stopni. Milczeliśmy przez chwilę oniemieli z wrażenia. Przystaliśmy do opisanego danych dotyczących naszej obserwacji — dopóki tkwiły w najwyższej pamięci. Bądź co bądź każdy z nas miał za sobą ponad dziesięć tysięcy godzin latania, a teraz wzbogaciliśmy się o nowe doświadczenie, którego absolutnie nie potrafiliśmy wytłumaczyć. Ustaliliśmy, że kiedy statki położyły się na boku, ich grubość odpowiadała 15—20 proc. przekroju. Spód pojazdów musiał być aluminiowany, prawdopodobnie w przeciwnieństwie do ich krawędzi. O świeceniu dolnej płaszczyzny wnosimy nie tylko z własnych spostrzeżeń. Kiedy bowiem nazajutrz wezwano nas do złożenia zeznań w tej sprawie, dowiedzieliśmy się, że w ciągu pół godziny od chwili wystąpienia zjawiska wpłynęło 7 raportów. Wszystkie pochodziły z Norfolk. Na szczęście każdy z nas osobno nacisnął stoper na tablicy przyrządów pokładowych, dzięki czemu dowiedzieliśmy się, że całe zjawisko trwało 12 sekund. Przy ustalaniu odległości kierowaliśmy się tym, że zauważyliśmy tajemniczą eskadrę 10 mil przed Newport News, a za miastem leciała około 30 mil. Poza tym mogliśmy w przybliżeniu określić odległość, jaką przebyła odwróciwszy się od nas i minąwszy Norfolk. Szybkość otrzymana z przeliczenia wynosiła 200 mil na sekundę czyli 12000 mil na godzinę. A więc szybkość olbrzymia. (Ciąg dalszy za tydzień)